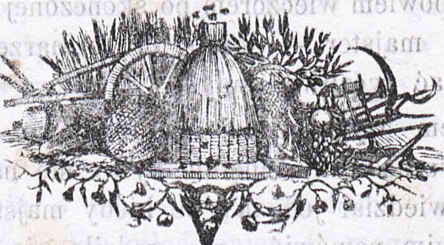
Tom XIX.  Nr. 16.

1. grudnia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Majster i czeladnik.

Powiastka przez Waw. Cz.

— Ale mój Karolu — rzecze jednego poniedziałku majster bednarski do swego czeladnika — jak też możesz tak niebacznie oddawać się trunkowi! Znowu tak ciężko zapracowane pieniądze straciłeś, a wyglądasz jakbyś dopiero co wyszedł z choroby. Co też to z ciebie będzie biedny Karolu, żałuję cię serdecznie!

— Panie majstrze — odrzecze czeladnik z westchnieniem — to jest takie moje przeznaczenie. Moja świętej pamięci babka powiadała mi, że po mojem urodzeniu się, nie chciałem pić wcale; wtedy to żal i smutek cały dom ogarnął, i równie jak pan majster teraz, tak i wówczas ciągle powtarzano: co to będzie z tego dziecięcia! Jednakże zapewne musiałem moją odrazę do picia przełamać, i jakoś z czasem powiodło mi się przekonać moją wstrzemięźliwością o niekoniecznie prawdziwej przepowiedni; ale teraz, jak widzę, wpadłem w niebezpieczeń-

stwo; lecz cóż pocznę, żeby już na żadną więcej nie zasłużyć naganę?

— To ja ci powiem wieczorem po skończonej dziennej robocie — odpowiedział majster — jeżeli ci rozmarzenie z niedzieli dozwoli wysłuchać życzliwej rady.

Z nadejściem wyznaczonej na rozmowę chwili, Karol strudzony, niewyczasowany, chętnie byłby się natychmiast udał na spoczynek; wiedział jednak, że kiedy majster miał zamiar po ojcowsku z nim pomówić, nie godziło się życzliwą radą pogardzić, albo przynajmniej lekce ją sobie ważyć Zresztą kochał on swego przełożonego i wolał raczej od niego choćby i przykre słowo usłyszeć, niż gdzieindziej starać się o robotę. I majster podobnież wielce sobie cenił niestrudzonego robotnika, nienagannie dopełniającego swych powinności, dopóki tygodniowej nie otrzymał płacy, bo wtedy już od końca soboty rozpoczynał pijatykę, a w poniedziałek dopiero postrzegał, że ostatni grosz zabrał szynkarz z pod koguta.

W środku podwórza stara grusza szeroko swoje rozpościerała gałęzie, pod nią to omroczeni cieniem usiedli majster i czeladnik; z tych pierwszy popatrzywszy się na młodego człowieka, na którego twarzy widocznie jeszcze niedzielnej niewstrzemięźliwości pozostały ślady, rzekł z uczuciem:

— Prawdziwie żal mi cię Karolu!

Młodzieniec zakłopotany nie wiedział co z sobą zrobić, oko mu łzą zaszło, na ten tak przyjaźny głos życzliwego majstra.

— Chociaż tak zawzięcie wziąłeś się do pohulanki, to jednak jeszcze zupełnej nie tracę nadziei, że od brzydkiego nałogu odwykniesz i pójdziesz za przykładem uczciwych ludzi, dalekich od wszystkiego, co tylko hańbi i upadla człowieka. Przystojny z ciebie chłopak, masz dzielne ręce do pracy, głowę na karku pełną zdrowego rozsądku; prawdziwie mój Karolu, ja na twojem miejscu nie uległbym tak łatwo podszeptom namiętności, która cię w szpony swoje pochwyciła i do zguby cię prowadzi.

— Ja to samo cały tydzień myślę, dopóki w kieszeni nie nie ma, ale jak tylko wezmę tygodniowe myto do ręki, to jakby mi kto rozpalonych węgli nakładł do gardła; jakaś pokusa popycha mię i szatan gwałtem wciąga mię do szynku. Czasem jaki towarzysz da pierwszą zachętę; to znowu mnie jakoś wypadnie coś do zrobienia w sąsiedztwie. Niech się pan majster nie śmieje, ale ja doprawdy nic temu nie winien.

— Wiem ja o tem — z uśmiechem odparł majster — ale że z ciebie rozsądny młodzieniec, to mogę ci śmiało powiedzieć, zkąd to pochodzi. Wiesz dobrze, co dzisiaj ludzie o szatanie myślą, oto że go nie ma na świecie. Ale nie na tem koniec. Chociaż on wprawdzie nie wygląda tak, jak go na obrazie św. Jerzego wystawiają; to jednak Pismo święte mówi o nim: Biega on jak lew ryczący, albo co gorsze jeszcze i niebezpieczniejsze, w postaci węża, który Ewę skłonił do zjedzenia zakazanego owocu.

— Otóż to teraz dobrze pan majster powiedział, bo czyliż ten przeklęty szatan, wodząc mię na pokuszenie, nie jest mego nierządu przyczyną?

— Mój młodziku, gdybyś nie był bezbożnym człowiekiem, gdyby myśl twoja jedynie trunkiem nie była zajęta, wtedy szatan żadnej by nad tobą nie wywierał władzy; ale ty bierzesz się do złego, a on wciąga cię zawzięcie, pokazujesz chętkę do trunku, to on stanie przed tobą, i z kieliszkiem w ręku będzie cię wabił do siebie. Tak więc w zażyłem pomiędzy sobą porozumieniu, jak towarzysze ręka w rękę postępujecie, a ty chętnie dajesz się prowadzić, dokąd się jemu zawieść cię podoba. A dokąd? Spytaj się sam siebie Karolu. To cię nie godzi i tak być nie powinno. Trzeba wziąść rozbrat z tym obrzydłym szatanem, czyli raczej trzeba poskromić swoje żądze, i trzymać je na wodzy zdrowego rozsądku. A jeżli ten zły duch uśmiechnie się wdzięcznie do ciebie, to się odwróć od niego, a jeżeli chce cię zwabić koniecznie pod koguta, to niebawnie zwracaj się w inną ulicę.

— Usłucham waszej rady, panie majstrze, spróbuję na prawdę pokonać szatana.

— Zobaczymy, czy słowa dotrzymasz i długo potrwa to postanowienie — odparł majster z uśmiechem, podając mu rękę po uściśnienia.

W następną sobotę, przy wypłacie tygodniowej, podniósł majster palec znacząco do góry i rzekł:

— Karolu! już wiesz!..

— O zobaczy pan majster, jak sobie teraz postąpię.

Karol był sierotą; bardzo wcześnie rodziców utracił i z litości wychował się u ludzi ubogich, ale chętnie dzielących się kawałkiem chleba z biedniejszym od siebie. Oddany do terminu, w kilka lat został czeladnikiem i już dwa lata pracował w jednem miejscu u majstra, do którego dziecinne powziął przywiązanie. Gdy teraz Karol drobniejsze należytości zaspokoił, schował resztę pieniędzy i poszedł się kąpać. Wracając do domu, gwizdał sobie wesołą piosnkę, gdy przechodził koło szynkowni pod kogutem. Z zadowoleniem majster z fajeczką w ustach wyjrzał do okna; Karol pozdrowił go uprzejmie, jak gdyby mówił: A cóż? czy nie jestem na dobrej drodze?

Zaledwie dnieć zaczynało, a nasz bohater już się obudził. Nie mógł długo na posłaniu pozostać, bo do przeciągłego wywczasu nie był przyzwyczajony; zaczął się więc ubijać z myślami, co tu robić z tą długą niedzielą. W tem posłyszał w swojej komnatce, z której okno na ogródek wychodziło, świergotanie i wdzięczne ptastwa piosnki, któremi dzień poczynający witając, wielbiły Stwórcę swoim sposobem. Ta miła muzyka słodkiem uczuciem serce jego przejęła i ukorzyła przed dobroczynną Opatrznością: odmówił więc z pokorą zwykłe pacierze, miły gwar ptasząt nastręczył mu myśl udania się do niedalekiego od miasta gaju. Żwawo przebiegał rosą zwilżone pola, a świeżego po całym tygodniu zaczerpnąwszy powietrza, wkrótce stanął w oznaczonem miejscu. Tak mu było miło na sercu, jak gdyby nowe rozpoczął życie, a gdy sobie wspomniał o rozmowie ze swoim poczciwym majstrem, już mu się zdawało niekiedy, że przygniótł nogą szatana, że stłumił swoje złe skłonności. Po niedługiej chwili spotkał tu także kilku swoich towarzyszów, żarty, śmiechy, opowiadania snuły się bez przerwy;

jedni cięli pręty, drudzy robili piszczałki. Karol zbierał kwiatki, jakich mu wiosenna pora dostarczyła, i uwitą z nich równiankę umyślił ofiarować pani majstrowej.

W powrocie gdy towarzysze zbliżyli się do miejsca, gdzie gościniec na dwie osobne rozchodził się drogi, prowadzące do dwóch różnych ulic, namyślali się chwilkę, którędy powracać mieli. Karol naprzód oświadczył, że wraca do siebie najbliższą drogą; drudzy zaś chcieli wrócić się i wstąpić pod smoka. Jeden kieliszek, to przecież nie zaszkodzi, pomyślał sobie Karol, nicby w tem złego nie było. Lecz w tej samej chwili zdawało mu się słyszeć głos swego majstra: „Nie daj się owładnąć, weź rozbrat z szatanem.“ Tak więc zwrócił się ku domowi swego przełożonego, i wszedł do izby, nie wiedząc jak i kiedy. Tu właśnie zastał gospodarstwo przy śniadaniu. Oddał kwiaty samej pani, a zarazem spojrzał na majstra. Ten zrozumiał, co chciał przezto dać poznać. Uprzejmego młodzieńca zaproszono po przyjacielsku do stołu, a gdy usiadł w gronie tych zacnych ludzi, to się zdawało biednemu sierocie, że dostąpił szczęśliwości niebieskiej.

Żeby o każdym jego kroku wiedział pan majster, poszedł do kościoła i stanął na miejscu, z którego mógł być widziany. Spojrzał na obraz św. Jerzego i pomyślał sobie, że i on pokonywa teraz ryczącego lwa wstępnym bojem, śmiało i odważnie. Po obiedzie położył się na trawniku w ogródku i spał spokojnie aż do uderzenia na wieży drugiej godziny. Tu jeszcze chwilkę pozostał i rzekł do siebie: Do nocy bardzo daleko — co też począć z tym wlekącym się czasem?... Po niejakim zaś namyśle: O wiem co zrobię, oto pójdę zobaczyć ten tak wychwalany nowy dom Buckiego. Poszedł do siebie po czapkę, potem przyszło mu na myśl, że trzeba jeszcze przerachować pieniądze... O piękne, jak nowo odbite, warto je zachować, ale... pulares w kieszeni prawie próżny, a jakże wyjść bez pieniędzy, przecież zawsze jaki grosz trzeba mieć przy sobie, a cóż zrobię z resztą?... nie ma co zostawiać, wszakże i tak wrócę z niemi do domu, to i ostrożność mniej potrzebna. (Dok. n.)

Prządka.

Siadła prządka przy kominie,
Puściła wrzeciono;
Smutna piosnka z ust jej płynie,
Ach! i z serca pono:
— Matko Boska Częstochowska,
Królowo serdeczna!
W sercu mojem wieczna troska,
A w oku łza wieczna.
Mąż mój poszedł w świat daleki,
W boleści godzinie,
Aż zamknęła śmierć powieki
W nieznanej krainie.
I zostałam na tym świecie
Jak ptaszę tułacze;
U wdowiego serca dziecię
Łzą sierocą płacze.
Krwawym znojem, łez twych zdrojem,
Karmię to niebożę,
I za całym skarbem moim
Tak Cię błagam Boże:
„Przez łzy, co mi z oczu cieką,
Przez ojcowską dolę,
Otocz świętą Twą opieką
Sieroce pacholę!
Niech mi rośnie w życia wiośnie,
Jak choinka w lesie,
Niech mu każdy krok radośnie
Nowe szczęście niesie;
Zagon, który ciężkim potem
I łzą gorzką zleje,
Niech mu kiedyś żniwem złotem
Corocznie się śmieje.“
Śpiewa prządka, nagłe łkanie
Pieśń stłumiło w łonie,
Ku bielonej chatki ścianie
Wyciągnęła dłonie.
Tam na krzyżu rozciągnięta
Kona postać blada,
Bok przeszyty, głowa święta
Na ramię opada.
I krew blade lica broczy,
Strugą płynie z czoła,
Lecz gdy spojrzeć w smutne oczy,
Głos zdaje się woła:
„Chodźcie do mnie! chodźcie wierni!
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu z cierni
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgata,
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą,
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojej chwały
Na ziemi i niebie!“

Klękła prządka rozjaśniona
Źrenica jej błyska,
Do drżącego swego łona
Dzieciątko przyciska.
Boże! woła, promień łaski
Błysnął z krzyża Twego,
Niebieskiemi swemi blaski
Wszedł do serca mego;
I jak tutaj wśród swobody,
Czuciom matki gwoli,
Błagałam Cię dla sieroty,
Uciech ziemskiej doli —
Tak znów dłonie wznoszą drżące
I wołam w pokorze:

Daj mu poznać prawdy słońce,
Ojców moich Boże!
Niechaj idąc życia drogą,
Słów Twych strzeże wiernie,
Choćby krwawą, jak Ty, nogą
Ostre deptał ciernie!
A chcąc wytrwać niezwalczony
W miłości i wierze,
Niech Twój Chryste, krzyż skrwawiony
Za wsparcie obierze;
Bo tam tylko u podnóża,
Świeci łaska Pana,
Tam umilka pokus burza
W sercu chrześciana;
Tam każdego, który płacze,
Wesprze dłoń anioła,
Na sieroty i tułacze
Taki głos zawoła:

„Chodźcie do mnie, chodźcie wierni,
Rozwarłem ramiona,
Głowa moja w wieńcu cierni,
Ku wam pochylona.
Chodźcie do mnie, niech Golgota
Nie straszy ofiarą,
Nieście ciężki krzyż żywota
Drogą waszą starą,
A na grobów waszych ciemnie
Ześlę wam anioła,
Co wierzącym żywo we mnie
Upromieni czoła.
Wtedy Chrystus zmartwychwstały
Zgarnę was do siebie,
Dzień się stanie mojej chwały
Na ziemi i niebie!“

J. M.

Xiądz Grzegorz Piramowicz.

Obok wspaniałego kościoła księży Jezuitów we Lwowie wznosi się gmach ogromny, poprzecinany wewnątrz długiemi korytarzami, na których zawsze ruch panuje wielki, bo w tym gmachu są rozmaite urzędy, toż ludzie przychodzą tam z rozmaitemi sprawami. Przed laty inaczej ten gmach wyglądał. Cicho tu było i spokojnie, a po kurytarzach przesuwały się tylko poważne postacie zakonników. Tu gdzie dziś są kancelarie, były zaciszne ich cele; na ścianach wisiały tylko krucyfiksy i obrazy świętych. Tu gdzie dziś piętrzą się niezmierne stosy papierów, leżały księgi uczone, bo OO. Jezuici z wielką pilnością oddawali się naukom, a tu gdzie dziś żołnierz stoi na warcie, był dzwonek, wzywający pobożnych tego gmachu mieszkańców na nabożeństwo albo do spoczynku. Gmach ten był kolebką wielu znakomitych w naszej ojczyźnie mężów, tutaj wychował się także xiądz Grzegorz Piramowicz.

A któż był ksiądz Grzegorz Piramowicz?... Kto? Na to

trudno odpowiedzieć jednem słowem, a najtrudniej dlatego, bo na wspomnienie tego zacnego męża łza ciśnie się do oka. To był anioł nie człowiek.

Zaledwie skończył szkoły jezuickie, rodzice chcieli go ożenić i nawet bogato. Ojciec jego był kupcem, rad też był aby i syn oddał się temu zawodowi — ale on nie miał ochoty ani do handlu ani do gospodarstwa; jedynem jego było pragnieniem poświęcić się Bogu i ludzkości.

Kiedy został księdzem, celował nietylko cnotą i nauką, ale też dziwnie ponętną uprzejmością i wesołością. Jużto żarcikami sypał zawsze jak z rękawa i umiał niemi zarówno starszych jak i młodszych a nawet dzieci śmieszyć. Toż nietylko lubiano go, ale kochano i wydzierano sobie, bo wszyscy chcieli się nim ucieszyć, a dzieciom, które się cisnęły do niego, obronić się nie mógł. Ale nie wiele miał on czasu na takie rozrywki, bo był profesorem, to też wolne chwile we dnie poświęcał rozrywce, a za to w nocy nie sypiał, tylko pracował.

Przełożeni dali go potem na nauczyciela domowego do młodych Potockich; wyjechał więc ze swymi uczniami najprzód do Francii a potem do Rzymu. Tu zaledwie stanęli w klasztorze jezuickim, wszyscy księża tak zaraz pokochali Piramowicza, jakby się pomiędzy nimi wychował, a oceniając jego naukę, jednomyślnie profesorem go zrobili. Szczęśliwych lat kilka przepędził w Rzymie kochany i szanowany zarówno przez rodaków jak cudzoziemców i tu poznał się z wielce zacnym panem polskim, a stryjem swoich wychowańców, Ignacym Potockim. Zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, która potem obu do grobowej deski łączyła.

Po kilku latach xiądz Piramowicz wrócił do Lwowa, taki sam jak wyjechał, serdeczny, wylany dla wszystkich — przytem z ogromnym zasobem nauki, nabytej w obczyźnie. Nie długo jednak zagrzał miejsca w klasztorze. Jeden z jego przyjaciół, ksiądz Adam Rzewuski, opat, dotknięty ciężką chorobą, wyjeżdżając za granicę dla poratowania zdrowia uprosił go aby mu towarzyszył. Piramowicz pojechał aby przyjacielowi osło-

dzić ostatnie chwile; tak, ostatnie, bo niedługo potem opat Rzewuski umarł.

Xiądz Piramowicz wrócił znowu do Lwowa, ale jakże straszne zastał tu zmiany. Ta część Polski, która się nazywa Galicyą, była już pod panowaniem austryackiem, a nad bramą klasztoru wisiały orły cesarskie i żołnierz chodził na warcie z karabinem. Klasztoru nie było, już tam nie miał iść poco, albowiem właśnie wtenczas kiedy Polskę rozbierano, ojciec św. zniósł zakon jezuicki, skasował wszystkie ich klasztory w całym świecie, a tak i lwowscy Jezuici musieli opuścić swoje cele i oddać cały gmach nowemu rządowi.

W tej bolesnej chwili Piramowicz ujrzał się jeszcze nieszczęśliwszym jak wielu z jego towarzyszy zakonnych. Właśnie w tym czasie bowiem i rodzice jego, skutkiem rozmaitych wypadków, stracili majątek — ojciec umarł, a matka została z liczną rodziną bez sposobu do życia. Xiądz Grzegorz powinien był teraz zastąpić ojca rodzinie, ale jakże to mógł uczynić kiedy on sam teraz oglądać się musiał po świecie za kawałkiem chleba dla nowemu samego.

W tej smutnej doli przyjaźń przyszła mu w pomoc. Ów Ignacy Potocki, możny pan, z którym się był poznał w Rzymie, zasłyszawszy o losie przyjaciela, wezwał go zaraz, aby czem prędzej przyjechał do niego i wybawił go z kłopotu, dając mu probostwo w miasteczku swojem dziedzicznem Kurowie

Zacny xiądz Grzegorz odetchnął w ciężkiem strapieniu. Już nie tylko o siebie ale ani o matkę, ani o rodzeństwo troszczyć się nie potrzebował, a co najbardziej jego serce cieszyło, to, że teraz jako proboszcz będzie mógł prawdziwie dla ludzkości pracować, czego najmocniej zawsze pragnął.

Kurów było to miasteczko w bardzo miłej okolicy, piękne i schludne. Na plebanii znalazł nowy proboszcz wygodne pomieszkanie dla siebie i dla matki, która zaraz objęła jego gospodarstwo; czego zaś nie dostawało, to prędko uzupełnił.

Xiądz Piramowicz był teraz szczęśliwym jak jeszcze nigdy w życiu, choć się tu nie mało napracował. Opowiadają, że odkąd objął probostwo, drzwi od jego pomieszkania nie

zamykały się przez cały dzień boży. Jedni przychodzili do niego z prośbą o radę, drudzy po wsparcie, inni po naukę, tamci po lekarstwo, jeszcze inni co się już mieli procesować, wstąpili na plebanię i poddają się pod wyrok ubóstwianego proboszcza. On nikomu nie odmawia rady, pomocy, wspiera wszystkich swojem doświadczeniem, swoją nauką. Zwaśnionych godzi, chorych leczy, ociera łzy wdowom i sierotom, obmyśla im przyszłość i utrzymanie.

Ale zaledwie zacny xiądz Piramawicz zaczął kosztować słodyczy świadczenia drugim dobrodziejstw, nowe spotkało go zmartwienie. Wśród żniw okropny pożar wybuchł w Kurowie, i w dwóch godzinach pochłonął większą połowę miasteczka. Przeszło tysiąc ludzi straciło całe swoje mienie; nieszczęśliwi pogorzelcy błąkali się głodni, obdarci, bez przytułku. Poczciwy pleban sobie ujmował, aby tych biedaków nakarmić, ale to nie wystarczało. Szczęściem posiadał od Boga dar dziwnej łatwości wzruszania serc ludzkich. Rzucił się więc pomiędzy panów w okolicy mieszkających i jak zaczął przemawiać im do serca, tak wnet uzbierał tyle, ile potrzebował, i w rok po pożarze Kurów był już odbudowany. O! ileż to błogosławieństw odebrał wówczas od tych, których od ostatnej nędzy uratował!

Uporawszy się z odbudowaniem miasta, zabrał się do założenia szkoły w Kurowie. Że to była szkoła wzorowa, każdy się łatwo domyśli, ale bo też xiądz Grzegorz sam uczył w nowej szkole, lub przynajmniej pilnował nauki. Założenie szkoły było nowem dla Kurowa dobrodziejstwem, przez które xiądz Piramowicz pozyskał sobie niewygasłą wdzięczność w sercach swoich parafian.

W tem, jako jeden z najuczeńszych mężów w Polsce powołany został do Warszawy, gdzie właśnie zajmowano się poprawą i urządzeniem szkół w całym kraju. Do tej pracy zabrał się z zadziwiającą gorliwością i w krótkim czasie wielkich rzeczy dokonał, a to co dla poprawienia szkół uczynił, służy po dziś dzień za wzór tym, którzy urządzają szkoły. Napisał też kilka książek dla ludu, o których powiedzieć można, że są godne, aby je złotemi wydrukować literami, a mianowicie,

O powinnościach nauczyciela w szkołach parafialnych, Nauka obyczajowa dla ludu itd. Nadto umyślił napisać jeszcze xiążkę, któraby zawierała wszystko, co wieśniak nie mogący wielu xiążek posiadać, powinien wiedzieć i umieć — gdy w tem ostatni rozbiór Polski wytrącił pióro z tej czcigodnej ręki, a wielka praca ledwie rozpoczęta, dostała się na łup wrogom. Po xiędzu Piramowiczu nie znalazł się dotąd nikt, coby pomyślał o napisaniu tak ważnej xiążki jak ta niedokończona jego praca; w ostatnich dopiero czasach wspomniano o czemś podobnem, ale zapewnie na próżno.

Xiądz Piramowicz wróciwszy z Warszawy do Krakowa, był już siwym, zgarbionym staruszkiem, z podkopanem licznemi pracami zdrowiem. Pomimo tego zachował do ostatka nawet wśród cierpień świeżość umysłu i tę przyjemną wesołość, która go przez całe życie czyniła ludziom tak miłym. Niedługo potem książę Czartoryski ofiarował mu bardzo bogate probostwo w Międzyrzeczu, dokąd ze względu na liczna a ubogą rodzinę swoją, pojechał, chociaż żal mu było Kurowa, gdzie parafianie czcili i kochali go jak ojca. Wkrótce jednak po wyjeździe do Międzyrzecza zakończył życie pełne cnót i poświęcenia. Zwłoki jego odwieziono do Kurowa i pogrzebiono na cmentarzu parafialnym w miejscu, które sam wybrał sobie przed odjazdem, obok grobu matki swojej. *St. Kr. N.*

Co się w górach ukrywa.

(Dokończenie.)

Bogu dzięki! że złoto i srebro pomimo swej piękności i użytku nie jest przecież nieodbicie potrzebne. Żelazo zaś przeciwnie, bez którego prawie nikt obejść się nie może, we wszystkich prawie przez ludzi zamieszkałych okolicach w niewyczerpanej ilości znajduje się w różnych kamieniach i rudzie żelaznej. Obecnie na całej naszej ziemi do 200 milionów cetnarów żelaza corocznie otrzymują, a każdy mężczyzna ma przynajmniej nóż, a każda kobieta igłę i nożyczki. Nóż to

wielkiej wagi narzędzie, w ręku robotnika do jego zamiarów stosownego, rozliczne przybiera kształty. Z noża powstaje miecz do obrony przed dzikim zwierzem lub naszymi nieprzyjaciołmi; zagina się on także na sierp, kosę lub nóż ogrodniczy; we dwa trzonki oprawny służy w ręku bednarza, stelmacha i gonciarza do strugania; w kształcie dłuta wielce użyteczny tokarzowi. Nóż stosownie w narząd oprawiony, rznie sieczkę, lub jest szatkownicą lub hyblem dla stolarza; nóż szerszy i grubszy na trzonie umocowany, staje się toporem dla rzeźnika, siekierą dla cieśli, a w małej wytworniejszej postaci staje się scyzorykiem, brzytwą, lub lancetem dla lekarza, który nim często życie nam ocala.

Igła mało co w mniejszych okazuje się postaciach, a rozliczne sprawia nam usługi, jako igła do szycia, drut, szydło, wędka, gwóźdź, oścień, świder, rożen, włócznia i t. p., bo któż wyliczy i wypowie nazwy wszystkich narzędzi i sprzętów wyrabianych z żelaza i stali, które w ręku robotników do wykonania najważniejszych wyrobów służą. O młocie, rydlu, motyce i pługu nieskończenie wiele dałoby się powiedzieć. Czyliż górnik bez żelaznych narzędzi mógłby się we wnętrze gór tak głęboko zapuszczać? Czyliż żeglarz zdołałby wypłynąć na otwarte morze bez kawałeczka stali, igły magnesowej, która w czasie mgieł i ciemności najbezpieczniej do celu go prowadzi? Mogliżbyśmy w jednej godzinie 4 do 6 mil przenosić się z jednego miejsca na drugie, i przez 24 godzin tyle odbyć drogi, że pieszy wędrowiec zaledwie by ją w miesiąc uskutecznił? Żelazo tylko użyte do kolei żelaznej, rozwiązuje to pytanie. A kto o sta mil po różnych krajach wiadomości w niewielu chwilach roznosi? Drut żelazny na telegrafie. Zaiste, żelazo to dobro nasze nieoszacowane, tak je też wysoko oceniać i uszanować powinniśmy, żeby go nigdy nie nadużywać na stal morderczą i złodziejskie wytrychy!

Złoto, srebro i żelazo z tak uciążliwą pracą z wnętrza ziemi wydobywane, nie są jedynemi naszemi skarbami; należą tu jeszcze: miedź, ołów, cyna, cynk, żywe srebro, platyna i inne metale, także drogie kamienie, i pospolite nawet, ale

wielkiego użytku, a różne rodzaje ziemi. Każde z tych ciał ma pewne dobre własności, z których przemysł korzystać nie omieszkał. Miedź jest dosyć miłej czerwonej barwy, można z nią inne metale farbować, np. cynk, na piękny żółty kolor. Miedź także rdzewieje, ale powleka się tylko cienką warstwą grynszpanu, który wnętrze tego metalu ubezpiecza, rdza zaś przeciwnie na wskróś żelazo rozgryza. Cyna jest czystym metalem, nie rdzewieje, jako tańsza od złota, używaną bywa do pobielania żelaza i miedzi. Cynk co do koloru i innych własności do cyny podobny. Ołów cięższy od żelaza, cyny, cynku, miedzi, a nawet od srebra, używany bywa na kule strzelnicze, bo łatwiej powietrze przenika i dalej leci. Żywe srebro łatwo się łączy z cyną i wtedy na taflę szklanną nałożone, służy nam za źwierciadło. Platyna najcięższa ze wszystkich metalów, jak złoto nie ulega zniszczeniu i z wielką trudnością daje się topić w ogniu; są to jej bardzo szacowne własności; ale że jest rzadka; dla tego droga, a jej użycie ograniczone.

Wspomniemy tu jeszcze o ciężkości będącej szczególniejszą własnością metalów, odróżniającą je od większej części ciał innych. Lód cokolwiek lżejszy od wody, bo w niej pływa. Wystawmy sobie sześcian (kostka o sześciu równych ścianach) na stopę wiedeńską wysoki, szeroki i gruby, albo dla dokładniejszego rachunku stopę sześcienną wody, której ciężar wynosi 36 funtów wiedeńskich. Weźmy teraz z najznaczniejszych metalów jedną stopę sześcienną i porównajmy ją z takąż objętością wody, a wtedy okaże się, że:

Stopa	sześcienna	wody waży	36	funt.
„	„	żelaza, cynku lub cyny 7 razy więcej czyli	392	„
„	„	miedzi, 8 razy więcej jak wody „	448	„
„	„	srebra 10 razy więcej „ „ „	560	„
„	„	ołowiu 11 razy więcej „ „ „	616	„
„	„	żywego srebra 13 razy więcej „	728	„
„	„	złota 19 razy więcej czyli	1064	„
„	„	platyny 21 razy „ „	1176	„

Kiedy człowiek stopę sześcienną lodu nie ważącą całych 56 funtów z łatwością podniesie, to do przeniesienia takiej sześciennej stopy złota lub platyny, potrzeba konia i wozu. Stopa sześcienna kosztuje około dwanaście tysięcy, a taki sam sześcian złota sześć set ośmdziesiąt tysięcy złotych.

Nieco o zwierzętach pożytecznych w ogóle, a o krecie w szczególności.

Przez Dr. E. Janotę.

(Ciąg dalszy.)

IV. O tem wszystkiem wiedziećby powinni gospodarze wiejscy, rolnicy i ogrodnicy, leśniczowie i leśni. Ale niestety najczęściej jedni i drudzy nic o tem wszystkiem nie wiedzą, ani się starają, aby co wiedzieć, a gdy czasem usłyszą jakie słówko rozumniejsze, przecież milsza im zwykle własna niewiadomość, przesąd i zabobon własny, z któremi wzrośli, aniżeli światła przestroga obca.. Mało też takich, coby lud w tych rzeczach umieli i chcieli oświecać.

Żal i słuszny gniew zbiera każdego miłośnika przyrody i ziemi własnej, gdy widzi nietylko rozbuchane chłopczyska, ale dorosłych ludzi, murarzy, cieśli i t. p., wykręcających ptaszętom gniazda, znęcających się nad młodemi, wybranemi z gniazd, lub jak męczą jeże, krety, niedoperze i inne zwierzęta. Cóż powiedzieć, gdy na wrotach dworskich zobaczy się rozkrzyżowaną wronę lub niedoperza, a w ogrodzie dworskim krety porozwieszane po drzewach za ogonki? lub widząc strzelających w lot jaskółki?

Najdrapieżniejsze zwierzę, gdy morduje i pożera inne, czyni to z konieczności potrzeby, a bardzo mało jest takich, coby się znęcały nad ofiarą swoją, jak n. p. kot. Człowiek tylko znajduje rozkosz w dręczeniu, jak bliźniego swego, tak zwierzęcia, które nie może mu się obronić, i nieraz z prawdziwie szatańską przyjemnością lub przynajmniej obojętnością patrzy, jak takowe powoli ginie wśród mąk, które on mu sprawia. Nie ma także zwierzęcia, któreby wszystko bez różnicy około siebie niszczyło. To czyni tylko człowiek. I czy takiem postępowaniem cześć oddajemy Bogu? Toż złodziej, podpalacz i każdy jakibądź psotnik teżby oddawał cześć temu, któremu wyrządził psotę, którego okradł lub spalił. Kto lekkomyślnie albo zgoła złośliwie męczy, dręczy i niszczy stworzenie boże, ten podobny jest do komornika, niszczącego własność tego, u którego siedzi komorą. Myśmy komornikami bożymi, na nieszczęście zazwyczaj wcale nie bardzo dobrymi.

V. Do zwierząt najniesłuszniej prześladowanych i wytępianych, a przecież nader pożytecznych, należą obok bardzo wielu innych niedoperze, jeże, krety.

Pomówmy nieco bliżej o krecie.

Bardzo wiele szkodliwego robactwa żyje w ziemi. Żywi się ono korzonkami wszelakich roślin. Podgryzając rośliny, szkodzi im, a tem samem ludziom i zwierzętom pożytecznym, dla których te rośliny są pożywieniem. Z takich szkodników wspomnę tutaj dwóch tylko, pędraka i podjadka, którego lud miejscami niedźwiadkiem zowie, ale fałszywie, bo niedźwiadek całkiem inne zwierzę. U nas nie ma go; żyje on w krajach cieplejszych. Niedźwiadek jest zwierzęciem jadowitem, nieco podobnem do raka. Podjadek nie jest wcale jadowitym i bezpiecznie brać go można do ręki: ale w polach, łąkach i ogrodach wyrządza on nieraz znaczne szkody podgryzaniem korzeni.

Jeszcze gorszym, bo liczniejszym jest pędrak. Przy orce na wiosnę i w jesieni wyorywują go nieraz w wielkiej ilości, a wrony, sroki, kawki, szpaki (na wiosnę) i inne ptaki, chodząc za pługiem, zbierają i zjadają go. Za co należy się im wdzięczność. Dla przekonania, jak szkodliwym jest pędrak, przytoczę przynajmniej jeden przykład. W Prusiech około miasta zwanego Potsdam w r. 1856 na murawniku zajmującym około 2 morgów wyschła nagle trawa. Zepsuty trawnik musiano zaorać. Przy orce pokazało się atoli, że przyczyną uschnięcia trawy były pędraki. Kazano je zbierać. I otóż uzbierano ich ni mniej, ni więcej, jeno 10½ korca. I zkądże się tam wzięło tyle tego robactwa? Ztąd, że wyłapano krety, wystrzelano wrony, kawki i szpaki. A u nas czy lepiej robią?

Wszelkie robactwo znajdujące się w ziemi zjada kret i tym sposobem staje się on bardzo pożytecznym. Zje on na dobę przynajmniej tyle, ile sam waży. W roku czyni to około 40 funtów robactwa. Tak ogromną ilość robactwa ocala ten, kto jednego tylko zabija kreta. Pożyteczność kreta okazuje się tem większą, że jest bardzo żarłocznym. Głodu nie zniesie on nad 12 godzin. Więc też w niewoli trudno go trzymać, bo go trzeba karmić bezustannie, a trzyma się go w skrzyni napełnionej wilgotnawą ziemią. Prócz owadów zjada kret także żaby, jaszczurki, padalce, myszy, ryjówki i inne małe zwierzątka, które mu się jeno w norze nawiną. Ropuch nie chce. Rośliny żadnej ani się nie tknie i prędzej z głodu umrze, nimby jadł coś roślinnego, zupełnie tak samo, jak człowiek nie może jeść słomy i żyć nią.

Nie jedząc roślin, czemże im kret ma szkodzić? Sypaniem kretowin, rzeknie niejeden, u którego cały rozum na końcu języka. Nasamprzód niechaj ci mądrzy ludzie wiedzą, że jeszcze nikt nie najadł się z próżnej miski. Więc skoro kret gdzie naryje, toż to niezawodny znak, że tam

wiele robactwa w ziemi. I ciekawa rzecz, kto je tam sprzątać będzie, jeżeli nie damy pokoju kretowi. Wprawdzie nie ładnie na trawniku z kretowinami, a na łące, gdy obrosną, przeszkadzają przy koszeniu. Ale za tem nie idzie. aby zabijać kreta, owszem to, że nie należy być leniwym, ale należy rozgrabić kretowiny, dopóki są świeże. Wonczas potrafi to każde dziecko, a ziemia miałka, wyryta przez kreta, uprawi to miejsce, po którem ją rozgrabiono, i trawa na niem będzie bujniejsza. Nory krecie nic nie szkodzą, owszem są nawet pożyteczne, bo powietrze, ciepło i woda z deszczu dostaje się niemi pod ziemię, co dla roślin jest rzeczą pożyteczną, a nie szkodliwą. Niekiedy zajmują nory krecie trzmiele i ryjówki. Jedne i drugie zwierzęta pożyteczne. Trzmiele mianowicie, oblatując wraz z pszczołami koniczynę, gdy kwitnie, i wysysając z niej słodycz, rozwłóczą po nóżkach pyłeczek kwiatowy i przyczyniają się tym sposobem do tego, że się nasienie obficiej nawiąże.

Zresztą blizko powierzchni ziemi kret nie lubi ryć. Czynią to norniki. Są to zwierzątka do myszy bardzo podobne. Więc kowal zawinił a ślusarza wieszają. Z umysłu szkody kret nie robi; to jest wyłącznem przywilejem człowieka robić szkodę jeden drugiemu, częstokroć z wielkim przemysłem i złośliwością. Jeżeli zaś kret, usypawszy w ogrodzie kretowinę, zasypie jaką roślinkę, toć naprzód zastanowićby się godziło, co jest rozumniej i lepiej, zabić kreta i ocalić tym sposobem całe roje robactwa podziemnego, które pożerać i niszczyć będą daleko więcej roślin, aniżeliby ich sypaniem kretowin zniszczyć potrafił kret, czy też ponieść tę małą szkodę, dać kretowi spokój, a za to być pewnym, że on wszelkie posprząta robactwo podziemne, któreby daleko większe zrządzało szkody, gdyby się swobodnie mogło rozmnażać? Rzecz ma się tutaj zupełnie tak, jak gdyby kto powie dział: Nie będę się czesał, bo przytem można sobie wydrzeć kilka włosów. Więc cóż jest lepszem, czesać się i mieć głowę czystą, ale wydrzeć sobie przy czesaniu tedy i owdy włos, czy też nie czesać się, aby sobie żadnego włosa nie wydrzeć, ale za to mieć głowę nieczystą? Zresztą czy przy pieleniu, okopywaniu i podobnych robotach nie wydrze się tu i ówdzie jedna lub druga roślina? A przecież dlatego nikt tych robót nie poprzestaje. Gdyby zaś kret nie koniecznie nie podobał się komu w ogrodzie, to nic łatwiejszego, jak wypłoszyć go ztamtąd bez zabijania go. Dosyć włożyć do nory jakibądź przedmiot mocnej a odrażającej woni, a kret z pewnością opuści to miejsce. Takiemi rzeczami są głowy z śledzi, martwa zepsuta ryba lub rak martwy, zepsuta kwaśna kapusta, dziegieć, nafta, zmięta kora czarnego bzu lub pomięte gałązki czeremchy czyli kocierpki. Niektórzy radzili nabić do nór krecich potłuczonego szkła, aby kret pokaleczył sobie ryjek i przednie łapki. Jest to bezecna rada, bo kret pokaleczywszy się ginąć musi. (D. c. n)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.